

Wojna w poczekalni

14 września 2013

Wynik głosowania w sprawie napaści na Syrię to osobista porażka premiera Camerona, ale zwycięstwo zdrowego rozsądku. Atak Zachodu na reżim Assada doprowadziłby tylko do eskalacji przemocy i jeszcze większej liczby ofiar.

Kiedy przebywający na wakacjach w Kornwalii premier David Cameron odebrał telefon od Baracka Obamy z prośbą o polityczne i militarne wsparcie Wielkiej Brytanii w planowanym ataku na Syrię, wydawało się, że to tylko czysta formalność. W końcu przez wiele miesięcy lider torysów razem z ministrem spraw zagranicznych Williamem Hague’em po cichu agitował za takim rozwiązaniem i głośno atakował Baszszara Al-Assada. Za wspólnym atakiem przemawiała także historia „specjalnych stosunków” obu krajów i powszechne postrzeganie Wielkiej Brytanii jako najbliższego i najwierniejszego sojusznika Stanów Zjednoczonych w Europie. Cameron, przerywając parlamentarne wakacje i w ekspresowym tempie zarządzając głosowanie, wysnuł dwa kluczowe założenia. Po pierwsze, że parlamentarzyści konserwatywni opowiedzą się za „interwencją”, a po drugie, jeśli nawet niektórzy się wyłamią, to rząd wygra głosowanie dzięki głosom laburzystów.

Oba te założenia okazały się błędne. 30 posłów konserwatystów i 9 posłów liberalnych demokratów zagłosowało wspólnie z laburzystami przeciwko „interwencji”. Wniosek rządowy upadł, a Cameron, na własne życzenie, został politycznie upokorzony i postawił Obamę w kłopotliwej sytuacji.

Późne głosowanie w Izbie Gmin zaskoczyło świat. Redaktorzy gazet codziennych w ekspresowym tempie musieli zmieniać nagłówki, komentarze i przygotowane wcześniej notki prasowe. Ale sprzeciw brytyjskiego parlamentu w sprawie ataku na Syrię zmienił przede wszystkim postawę USA. Pozbawiony wsparcia największego europejskiego sojusznika Obama w niemal ostatniej

chwili wstrzymał spodziewaną przez wszystkich interwencję. Mając przeciwko sobie amerykańską opinię publiczną oraz ONZ, prezydent Stanów Zjednoczonych nie miał wyboru. Gotowa do militarnego uderzenia Francja i Turcja to za mało, żeby mówić o „szerokiej międzynarodowej koalicji” przeciw dyktaturze Assada.

IZBA POLITYCZNEGO WYRACHOWANIA

285 głosów w brytyjskim parlamencie wstrzymało rozpędzającą się kolejną machinę wojenną. Dotkliwa porażka Camerona to zwycięstwo polityki zdrowego rozsądku. I to pomimo że parlamentarzyści Partii Pracy byli skłonni poprzeć rządowy wniosek, gdyby premierowi udało się przedstawić „bardziej przekonujące dowody”. Kontrolowane przecieki z 10 Downing Street sugerowały także, że podczas spotkań Milbanda i Camerona (odbyły się takie dwa przed głosowaniem) lider Partii Pracy był przekonany „o słuszności interwencji”. Ed Miliband głosowanie w Izbie Gmin rozgrywał politycznie, próbując poprawić swoje słabe notowania. I przeciwstawić się dominującej konserwatywnej narracji, w którą w ostatnim czasie sam popadał.

Labour mówiła tym samym głosem co torysi w kwestii społeczeństwa, emigracji, zasiłków, bezrobotnych i gospodarki. Zaangażowanie Wielkiej Brytanii w syryjski konflikt stwarzało możliwość zaznaczenia różnic między obiema partiami. I przejścia do politycznej ofensywy. Dlatego też za sprzeciwem nie stał, jak chce prawicowa polska prasa, nieodłączny na lewicy antyamerykanizm i pacyfizm, lecz zwykła zimna, polityczna kalkulacja oraz osobiste animozje między Cameronem a Milibandem. W końcu inwazja na Irak dla brytyjskiej lewicy była niemal tym, czym dla polskiej lewej strony afera Rywina. Tak jak Rywin stracił z politycznego cokołu niezniszczalnego w tamtym okresie Leszka Millera, tak iracka zawierucha skompromitowała w oczach brytyjskiej opinii publicznej Tony’ego Blaira, który z najbardziej popularnego na Wyspach polityka przeistoczył się w tego, którym się najbardziej

gardzi.

Twardą postawą w sprawie ataku na Syrię Miliband starał się przykryć grzechy popełnione przez Labour inwazjami na Afganistan i Irak. Sprawie nie pomagała także antagonizująca retoryka premiera bezpardonowo atakującego lidera opozycji. Oskarżanie Milibanda o to, że „zawiódł Stany Zjednoczone” i „stał po stronie Ławrowa” (ministra spraw zagranicznych Rosji), podgrzewało atmosferę i nakreślało spiralę nieufności. A lider Partii Pracy zmagający się z narastającą niechęcią we własnych partyjnych szeregach i walczący o uznanie opinii publicznej, która według sondażu YouGov widzi go jako słabego, niezdecydowanego, bez charyzmy i pozbawionego cech przywódcy, zdecydował się wykorzystać nadarzającą się polityczną szansę. Zwłaszcza że miał świadomość tego, co się działo u torysów.

WSPANIAŁA IZOLACJA

Jeszcze przed zwołaniem parlamentu posłowie Partii Konserwatywnej, zwłaszcza ci najbardziej eurosceptyczni, zaczęli głośno sprzeciwiać się brytyjskiej interwencji. Daniel Hannan ćwierknął na Twitterze: „Nie podoba nam się użycie gazów bojowych, bo zabijają na oślep, więc odpowiemy deszczem pocisków?”, a Sarah Wollaton przedstawiła wyniki ankiety, jaką przeprowadziła w swoim okręgu wyborczym, i zapowiedziała głosowanie przeciw rządowi. I tak eurosceptyczni, konserwatywni rebelianci przeistoczyli się w romantycznych izolacjonistów, nawiązując do politycznej doktryny dominującej w myśleniu brytyjskich elit w przeszłości. Nie bez znaczenia był też nacisk konserwatywnej prasy. „The Sun” i „Daily Mail” – okręty flagowe konserwatywnej polityki – w swoich odredakcyjnych komentarzach nie pozostawiały wątpliwości. Głosowanie przeciwko interwencji stało się „moralnym obowiązkiem” i dbaniem o „interesy Wielkiej Brytanii”, zaś łamy obu dzienników zapełniły się opiniami ekspertów przestrzegającymi przed skutkami brytyjskiego zaangażowania w konflikt.

Gabinetowi Camerona nie udało się także przekonać opinii publicznej. Według sondażu Op Opinium 60 proc. Brytyjczyków, mając na uwadze ewentualne użycie przez syryjski reżim gazu bojowego, sprzeciwia się interwencji. Niechętni inwazji są nawet wyborcy torysów – 50 proc. 59 proc. pytanym stwierdziło zaś, że zaangażowanie brytyjskich wojsk w Iraku i Afganistanie spowodowało ich większe zainteresowanie militarnymi działaniami poza granicami Wielkiej Brytanii i nastawiło sceptycznie do politycznych deklaracji i zapewnień. Wszystko to razem złożyło się na polityczną klęskę Camerona. Nie przekonał wyborców, członków własnej partii, posłów partii koalicyjnej ani opozycji. Jego autorytet został nadszarpnięty. Zwolennicy ataku na Syrię mówią, że przez decyzję Izby Gmin ucierpiały także „specjalne stosunki” między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią, gdyż dziś obrażony Waszyngton komplementuje Francję jako „najstarszego sojusznika”, ale to tylko nic nieznacząca retoryka. Podobnie jak komiczne nawoływania George’a Osborne’a o „narodowym poszukiwaniu duszy” i roli, jaką Londyn ma odgrywać w świecie, czy niepoważne porównanie przez byłego lidera LibDem Paddy Ashdowna Zjednoczonego Królestwa do Szwecji. Jednak w tym politycznym kociokwiku zagłuszona zostaje kwestia najważniejsza – sens i skutek ewentualnej napaści na wykrwawiającą się w wojnie domowej Syrię. I chociaż obrazki z regionu są przerażające, liczby ofiar śmiertelnych dramatycznie rosną, cywile i uchodźcy doznają traumatycznych przeżyć, to wojskowa interwencja niczego nie zmieni. W Syrii bowiem nie walczą ze sobą miłujący demokrację „dobrzy rewolucjoniści” i „źli żołnierze krwiożerczego tyrana”, lecz praktycznie wszyscy ze wszystkimi. W skład rebeliantów wchodzi tysiąc różnych grup – od Al-Kaidy, poprzez sekularystów, a na zwolennikach średniowiecznego kalifatu kończąc.

Do tego, jak twierdzi znawca Bliskiego Wschodu Gillesa Kepela, w Syrii nie tyle toczy się wojna domowa, co walka między Iranem, wspomaganym przez Hezbollah i Rosję, a krajami Zatoki Perskiej, wspieranymi przez Amerykę i Izrael. Tomahawki

„międzynarodowej koalicji” tego węzła lokalnych i międzynarodowych interesów nie rozplączą. Tak jak nie rozwiązały problemów w Iraku, Afganistanie czy w Libii. Generał Martin Dempsey, przewodniczący Kolegium Połączonych Szefów Sztabów USA, powiedział w Kongresie, że chociaż Stany Zjednoczone mogłyby interweniować, nie ma nikogo, kto byłby zdolny przejąć władzę po Assadzie. To oznaczałoby niekontrolowaną regionalną wojnę. Jedynym racjonalnym działaniem jest wykorzystanie przez Zachód swoich wpływów wśród rebeliantów do zawieszenia broni i rozpoczęcia rokowań pokojowych z reżimem. Ale to się nie zdarzy. Żadna ze stron nie jest zainteresowana.

Autor: Radosław Zapałowski

Źródło: [eLondyn](#)